

David Hagberg



**Masa
nadkrytyczna**

Tytuł oryginału: *Critical Mass*

Copyright © 1992 by David Hagberg
© 2021 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-56-7

Wydawnictwo Arie Books Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB
oraz Espadon Publishing Sp. z o.o. i Arie Books Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

David Hagberg

Masa nadkrytyczna

Przekład: MAREK PĄKCIŃSKI

ARIE BOOKS
WARSZAWA 2021

*Powieść tę poświęcam Dominikowi Abelowi i Tomowi Doherty'emu.
Dobrze jest, gdy są ludzie, którzy w ciebie wierzą,
a jeszcze lepiej mieć takich przyjaciół, jak oni.*

Prolog

• Hiroszima, 6 sierpnia 1945 roku

W promieniach porannego słońca, wdzierającego się przez wysokie okna do wnętrza szpitalnej sali, światło elektrycznych lamp, które zwisały z jej sufitu, zbladło do tego stopnia, że stało się prawie niewidoczne. Mężczyzna, ubrany w coś, co wyglądało na wojskowy mundur, pozbawiony jednak jakichkolwiek dystynkcji pozwalających określić rangę lub jednostkę wojskową, przystanął w pobliżu dwuskrzydłowych drzwi i zmusił się do spojrzenia za siebie. Szpital był już prawie pełny i w tej akurat sali wszystkie łóżka, z wyjątkiem dwóch, były zajęte. Przy najbliższym łóżku po prawej stronie siedział ze spuszczoną głową starszy człowiek. Trzymał za rękę umierającą staruszkę, która kuliła się pod kilkoma warstwami okryć. Człowiek w mundurze spojrzał na nich, jakby po raz ostatni zapamiętując ich obraz jako żywych jeszcze ludzi, po czym odwrócił się i wyszedł.

Siedząca za biurkiem dyżurna pielęgniarka obdarzyła go uspokajającym uśmiechem. Godne umieranie nie przynosiło żadnej ujmę, zaś starsza kobieta z łóżka po prawej stronie umierała w sposób zdyscyplinowany, cichy i pełen godności. W warunkach tutejszego szpitala Czerwonego Krzyża taka postawa zasługiwała na prawdziwy szacunek.

Isawa Nakamura pchnął dwuskrzydłowe drzwi i wyszedł na korytarz, gdzie przystanął, niezdecydowany, przez kilka jeszcze chwil. Z okien rozciągał się widok na centrum miasta, w stronę wyróżniającej się z tła kopuły Hali Promocji Przemysłu. Było parę minut po ósmej i Nakamura zostało jeszcze nieco czasu do pory, o której był umówiony. Nie powinien zjawiać się za wcześnie. Lepiej podkreślić swoje znaczenie przez przybycie na spotkanie minutę lub dwie po czasie.

Trzeba z żywymi naprzód iść. O zmarłych nie wolno zapomnieć, ale teraz właśnie dla tych, którzy zamierzali przetrwać, niezwykle ważna stała się każda chwila. Zaś o Nakamura można było powiedzieć przede wszystkim to, że sztukę przetrwania doprowadził do perfekcji. Pewnego razu, gdy był jeszcze dzieckiem, wybrał się ze swoim bratem, by pojeździć na łyżwach na zamrożonym stawie w pobliżu letniskowego domku należącego do ich rodziny, położonego niedaleko Sapporo na Hokkaido, tej spośród głównych wysp japońskich, która położona jest najdalej na północ. Łódź załamała się i Nakamura wpadł w szczelinę. Brat wskoczył za nim do lodowatej wody i wypchnął go z przerwą. Zamiast pobiec do oddalonego o kilometr domku po pomoc, Nakamura poszedł do położonego w pobliżu schroniska, by zmienić ubranie na suche. Kiedy wrócił nad staw, jego brat już nie żył; utonął w lodowatej wodzie, zaś Nakamura spokojnie udał się do domu, by zawiadomić wszystkich o tragedii. Jego działanie było racjonalne: w roku, w którym to się zdarzyło, wiele osób umarło na gripę, rozpoczynając się zwykle od przeziębienia. Podejmowanie takiego ryzyka nie miało sensu. W wieku lat trzydziestu Nakamura stał się jedną ze wschodzących gwiazd japońskiej rewolucji naukowo-technicznej. Był samoukiem w dziedzinie elektroniki, człowiekiem o zahartowanym umyśle i równie zahartowanym ciele. Miał prawie sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, muskularne ciało, głęboko osadzone oczy o barwie obsydianu

i kruczoczarne, wspaniale geste włosy. On i jego ludzie byli w stanie zbudować w ciągu pół roku niewielki, ale silny radar, który można by zainstalować na samolocie bojowym, co pozwoliłoby japońskim lotnikom na uzyskanie decydującej przewagi w powietrzu.

Gdyby tak się stało, w ciągu roku w skład japońskich sił powietrznych mogłyby wejść samoloty odrzutowe, co, w połączeniu z radarem i nowymi rozwiązaniami w dziedzinie uzbrojenia raketowego oraz systemów naprowadzania mogłoby diametralnie zmienić przebieg wojny.

Wszystko zależało teraz od morale Japończyków, od ich siły duchowej. Gdyby wykazali niezłomną wolę obrony ojczyzny wszędzie tam, gdzie pojawi się wróg: na plażach, w górach i w lasach, a także w miastach, ulica po ulicy, dom po domu, mogłoby to dać zespołowi Nakamury niezbędny czas. Ale i tak wystarczyłby on ledwie na doprowadzenie do końca fazy eksperymentów.

Nie było teraz czasu dla zmarłych i umierających, ponieważ stało się oczywiste, że Japonia przegra wojnę, jeśli żywi – wszyscy bez wyjątku – nie poświęcą się wojennym zmaganiom.

Nakamura spojrział znów w kierunku dwuskrzydłowych drzwi. Sprowadziły go tutaj sprawy spadkowe. Fakt, iż jego ojciec i matka jeszcze nie zmarli, uniemożliwiało odziedziczenie ich pieniędzy i ziemi. Dlatego też pragnął zobaczyć na własne oczy, jaki jest stan zdrowia rodziców. Matka umierała, a ojciec również nie wyglądał dobrze.

Napięcie nerwowe związane z jej śmiercią prawdopodobnie zabije go w ciągu miesiąca, najdalej dwóch.

Przybył tu również po to, by spotkać się z pułkownikiem z Rejonu Obronnego Hiroszimy, który uważał się za biznesmena i chciał, oczywiście za odpowiednią cenę, wesprzeć firmę Nakamury dostawami miedzianego kabla i złotych blaszek, niezbędnych do produkcji przełączników. Oba te metale były nie do zdobycia na rynku.

– Isawa-san... – ktoś zawołał go ściszone głosem z końca korytarza. Nakamura odwrócił się z irytacją i ujrzał Myeko Tanimoto, ubraną w marszczone kimono, ozdobione białymi i czerwonymi kwiatami, unoszącą swą małą, delikatną dłoń, by zwrócić na siebie jego uwagę. Podróżowała wraz z nim jako sekretarka, choć w rzeczywistości, dopóki Nakamura nie wykupił jej ze szkoły, była mai-ko, czyli gejszą uczącą się zawodu. W wieku lat piętnastu przypominała idealnie uformowaną, porcelanową lalkę. Jednak łatwo dawała się nastraszyć i ta jej cecha od pewnego czasu zaczęła irytować Nakamurę.

– Wracaj do samochodu i czekaj tam z Kiyoshim – powiedział, gdy zbliżała się ku niemu swymi drobnymi krokami.

– Isawa-san, przed chwilą było kolejne ostrzeżenie przed nalotem. Nie słyszał pan?

– Nie różniło się niczym od poprzednich, nadanych w nocy. Do tej pory nic się nie dzieje. Chyba powiedziałem ci wyraźnie, co masz robić.

– Proszę pana, oni powiedzieli, że na północny wschód stąd, nad jeziorem Biwa, dostrzeżono trzy Superfortece.

– Na pewno będą bombardować jakieś inne miasto. Jezioro Biwa to ich punkt orientacyjny. A teraz wracaj do samochodu. Kiyoshi będzie się denerwował.

– Czy nie mogłabym pozostać tu z panem? – spytała Myeko. Zatrzymała się na środku korytarza, w pół drogi do Nakamury. Z jednej z sal wyszła pielęgniarka, spojrzała na Myeko, potem na Nakamurę i ruszyła w dalszą drogę.

– Rób, co ci kazałem – powiedział Nakamura.

– Ale... ja się boję...

– Żądam posłuszeństwa!!! – ryknął Nakamura.

Myeko zaczęła odchodzić, potykając się, zupełnie, jakby uderzono ją w twarz, a potem odwróciła się i pokuśtykała w kierunku schodów, wracając tą samą drogą, którą przyszła.

Doktor Masakazu Sasaki podszedł do drzwi swego biura, patrząc na Myeko i Nakamurę z nieukrywaną dezaprobatą. Jego twarz była głęboko pobrużdżona zmarszczkami.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Nic, *sensei* – odparł Nakamura. – Chciałbym zamienić z panem kilka słów na temat moich rodziców.

Idąc przez korytarz, doktor podniósł okulary na czoło. Teraz opuścił je i zmierzył Nakamurę swym krótkowzrocznym spojrzeniem.

– Kim pan jest?

– Isawa Nakamura.

– Ach, nasz młody lew... – pokiwał głową lekarz. – Proszę zatem wejść – zaprosił Nakamurę, po czym odwrócił się i zniknął w drzwiach swego biura. Doktor Sasaki miał reputację człowieka o nadmiernie zachodnim, a przez to szorstkim i bezceremonialnym zachowaniu. Był jednak dobrym lekarzem i pracował za niewielkie pieniądze.

Biuro doktora było małe i panował tam kompletny chaos: instrumenty medyczne, fachowe czasopisma, książki i notatki wały się po całym pomieszczeniu.

– Chce pan dowiedzieć się, jaki jest stan pańskiej matki – stwierdził gburowato.

– Nie wygląda dobrze.

– Nie. Podobnie pański ojciec. Oboje umrą w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Sądzę, że pańska matka wcześniej, niż ojciec.

– Co im dolega?

– Wiek. Choroba serca. Prawie przez cały czas mówią o pańskim bracie.

– Rozumiem. Jaką stosuje pan terapię?

– Zapewniam im spokój... i pozwalam im być razem. Coś, co pan mógłby dla nich zrobić równie dobrze, a może nawet lepiej. Dzięki temu szpital zyskałby tak cenne teraz łóżka dla innych chorych.

– Jestem zajęty...

– Mógłby pan wynająć pielęgniarkę do opieki nad nimi. Jest pan młody i dobrze sytuowany. A jeśli już o tym mowa, to pańscy rodzice mają pieniądze i nieruchomości. Często mówią o swojej posiadłości na Hokkaido. Jak rozumiem, nie odwiedzali jej od czasu wypadku pańskiego brata. Teraz chcieliby udać się tam, by umrzeć w spokoju i połączyć się z synem.

Nakamura słuchał w milczeniu.

– Na pewno jest pan w stanie to zrozumieć, Nakamura-san. Ma pan przecież własne dzieci i żonę w...

Człowiek w mundurze uderzył otwartą dłonią w biurko doktora.

– Czas na wakacje przyjdzie, gdy skończy się wojna. Nie życzę sobie więcej słyszeć podobnych bzdur.

– Wojna się skończyła, młody głupcze – powiedział opryskliwie lekarz. – Już tylko spekulanci mogą w niej odegrać jakąś rolę. A później szubienice. Amerykanie nie uszanują seppuku. Być może popełnienie hara-kiri już teraz byłoby dla pańskiej rodziny wyjściem bardziej honorowym.

– Wojna nie skończy się, dopóki Jego Cesarska Wysokość Imperator Tenno nie ogłosi kapitulacji, a tego nie zrobi nigdy.

– Albo dopóki nie zostaniemy całkowicie zniszczeni.

– Mógłbym pana zakażać rozstrzelac za zdradę.

Doktor Saski chwycił słuchawkę telefonu. Ścisnąc ją w dłoni, podał ją Nakamura.

– Proszę wezwać pańskich przyjaciół z armii, Nakamura-san. Proszę zrobić to teraz, jeśli nie jest pan tchórzem. Ale wcześniej niech pan mnie wysłucha: nasze wielkie imperium przeminęło. Uleciało się z dymem zbombardowanych miast. Tokio jest już w ruinach. Wkrótce i nasze miasto podzieli jego los. Być może stanie się to szybciej, niż pan myśli. Nie ma znaczenia, co się ze mną stanie. Proszę, niech pan wezwie swoich przyjaciół na wysokich stanowiskach. Może opuszczają je na chwilę, by się ze mną rozprawić. A może odesłają pana do wszystkich diabłów. Kto to wie? Chciałbym się przekonać. A pan?

– Być może sam pana zabiję.

– Z pewnością jest pan do tego zdolny.

Nakamura nagle zdał sobie sprawę, że nie wie właściwie, co tu robi, tracąc cenny czas na podobne kłótnie. Jednak uświadomił też sobie, jak bardzo jest zdziwiony postawą lekarza. Zupełnie nie rozumiał tego człowieka.

– Woli pan umrzeć, niż walczyć? – spytał.

Po raz pierwszy rysy doktora Saski nieco złagodniały.

– Mówimy często o tym, że jesteśmy Japończykami. Jednak nie jest to już powód do dumy. Proszę mi wierzyć: widziałem tyle, co pan, a może nawet więcej. Widziałem nędzę, głód, cierpienie, otwarte, gnijące rany. Pytam więc pana, Nakamura-san: gdzie jest nasza duma?

Nakamura czuł się tak, jakby stał na samym brzegu bardzo głębokiej przepaści. Jeden błędny ruch mógł teraz spowodować utratę kontaktu z podłożem i śmiertelny upadek. Jedynie na skutek wysiłku woli zdołał przemoc się i odejść na kilka kroków od biurka lekarza. Do pokoju wpadły strumienie światła z korytarza, zalewając wszystko swym blaskiem.

– Nie jesteś Japończykiem – stwierdził Nakamura. – Jesteś zwykłą szumowiną.

– Ale nie jestem mordercą... tak, jak ty.

– Ty bękarcie... – zaczął Nakamura, gdy nagle korytarz rozjaśnił oślepiający błysk, zupełnie, jakby ktoś wyzwolił migawkę gigantycznego flesza.

Błyskowi nie towarzyszył żaden dźwięk. Oczy doktora Saski niemal natychmiast przybrały mlecznobiałą barwę; lekarz zatoczył się do tyłu.

Nakamura, który przeżył wiele nalotów na Tokio, instynktownie rzucił się na podłogę, chroniąc głowę rękami. W pierwszej chwili pomyślał, że Amerykanie

znów zrzucili coś, co nazywano potocznie Molotoffano hanakago, czyli Koszyk Kwiatów Molotowa, a co w gruncie rzeczy było bombą kasetową. Jednak zaprzeczając temu stanowczo zbyt jasny błysk. Poza tym wybuchowi nie towarzyszył huk.

Nakamura zaczął właśnie podnosić głowę, gdy do szpitala dotarła potężna fala uderzeniowa. Odnosiło się wrażenie, jakby pędzący na oślep, wyladowany po brzegi pociąg towarowy wbił się w fundament budynku. Fragmenty rozbitych okiennych szyb przeleciały ze świstem przez otwarte na oścież drzwi biura, niczym śrut wystrzelony z dubeltówki, w mgnieniu oka szatkując na plasterki twarz doktora Saski. Chwilę potem biurko podskoczyło w górę, jakby szarpnięte czyimiś niewidzialnymi rękoma i spadło na piersi lekarza.

W całym budynku ze straszliwym zgrzytem i trzaskiem waliły się sufity i ściany; kilka sekund potem dały się słyszeć krzyki ginących ludzi.

Nakamura podniósł się z wielkim trudem, wydostając się spod sterty kawałków drewna, szyb i papierów, które go zasypały, po czym pokuścił w stronę doktora Saski, leżącego teraz pod ciężkim dębowym biurkiem. Z setek rozcięć na jego twarzy lała się strumykami krew; krwawiły również oczy. Ciągłe jeszcze żył, ale było oczywiste, że wykrwawi się na śmierć, jeśli nie otrzyma natychmiastowej pomocy lekarskiej.

– Słyszysz mnie pan, *sensei*?! – krzyknął Nakamura.

Doktor Saski chwycił go za ramię swą nieprzyzwoicie dużą ręką.

– Co to było? – wychrypiął. – Jakaś bomba?

– Tak.

– Moi pacjenci...

– Nie może im pan teraz pomóc. Musi pan ratować najpierw siebie. Spróbuj podnieść to biurko.

– Nie! – krzyknął doktor, ściskając kurczowo ramię Nakamury. – Musi pan teraz pomóc w zorganizowaniu ewakuacji, zanim wszystko zacznie płonąć.

– Niech pan nie będzie głupcem. Teraz już nic nie można dla nich zrobić.

– Niech cię diabli, Nakamura, oni potrzebują twojej pomocy.

Nakamura oderwał palce lekarza od swojej kurtki i zaczął się wycofywać. Wstał niezdarne i ruszył w kierunku drzwi biura. Wszystko wyglądało teraz inaczej, jak po jakimś potwornym kataklizmie. Wielki fragment podłogi wyższego piętra runął w dół, zgniatając łóżka i pacjentów w jeden, krwawy kopiec, pełen splątanych ze sobą drewnianych belek, desek, potłuczonego szkła, kabli z elektrycznych instalacji, połączonych ze sobą rur, nawet narzędzi chirurgicznych, butelek, bandaży oraz wszelkiego rodzaju śmieci i gruzu.

Przez otwarte, pozbawione szyb framugi okienne widać było niewiarygodny wręcz krajobraz, rozciągający się mniej więcej na dwa kilometry w kierunku centrum miasta. Był on niczym sceneria sennego koszmaru. Gigantyczny kocioł dymu i ognia, jak z piekła rodem, mieniący się dziesiątkiem najbardziej fantastycznych barw, unosił się w górę, tworząc olbrzymią kolumnę, której szczyt ginął gdzieś wysoko, w falujących chmurach pyłu.

To nie była bomba kasetowa; było to coś całkiem innego. Przetarłszy oczy, by wyzwolić się spod sugestywnego wpływu koszmarnej scenerii, która rozciągała się na zewnątrz szpitala, Nakamura spojrzął na lekarza. Teraz już nie ulegało żadnej wątpliwości, że Japonia przegrała wojnę. Później, gdy Amerykanie zaczną oku-

pować ojczyznę, przyjdzie czas na procesy zbrodniarzy wojennych. Ci, którzy walczyli za Japonię najwytrwalej, wykazując się największą odwagą, pójdą pierwsi na szubienice... Tak jak przewidział to doktor Saski.

Amerykanie będą gromadzić materiał dowodowy. Znajdą się świadkowie, nawet pracownicy jego własnej fabryki, gdzie Nakamura korzystał już od 1938 roku z pracy koreańskich niewolników.

W jego przypadku nie będzie żadnych okoliczności łagodzących. Isawa Nakamura zostanie uznany winnym przestępstwa, które określa się jako „zbrodnie przeciwko ludzkości”.

„Błagałem go, by pomógł mi uratować moich pacjentów, ale on zignorował moje prośby i uciekł, ratując własną skórę. Przyjechał, żeby odwiedzić swoich rodziców, ale nie z powodu poczucia synowskiego obowiązku. Przybył po to, by przekonać się, jak długo jeszcze będą żyli. Szło mu wyłącznie o spadek, który miał dostać po ich śmierci”.

Coraz więcej ludzi krzyczało i jęczało w ruinach szpitala. Spod sterty gruzu na korytarzu wydobywał się głos jakiejś kobiety: – *Tasukete! Tasukete!* Ratunku! Ratunku!

Nakamura wrócił do przygniecionego biurkiem lekarza; jego buty chrzęściły na kawałkach potłuczonych szyb.

– Czy to ty, Nakamura?! – krzyknął doktor Saski.

Przez sekundę lub dwie Nakamura patrzył na niego. Wyczuł coś, co niewątpliwie było zapachem dymu. Nie ulegało wątpliwości, że szpital się pali.

– Nakamura, czy nie słyszysz krzyków wołających o pomoc? Musisz im pomóc. W przeciwnym wypadku wszyscy zginą.

Nakamura podniósł długi kawał szkła w kształcie sztyletu. Ukłękął przy doktorze Saski, wymazując ze świadomości wrzaski ginących, pozbawionych pomocy ludzi. Trzeba z żywymi naprzód iść; on zamierzał przeżyć. Przeżyć za wszelką cenę.

– Nakamura! – krzyknął jeszcze raz doktor Saski, unosząc się na łokciu nie przygniezionej ręki.

Nakamura chwycił pełną garścią włosy lekarza, brutalnie szarpnął jego głowę do tyłu i kawałkiem szkła przeciął tchawicę oraz tętnicę szyjną doktora Saski; z nim zdołał się wycofać, z przeciętej szyi lekarza chlusnęła krew.

Doktor Saski walczył ze śmiercią jeszcze przez chwilę, zanim wydał ostatni, bulgoczący oddech, a jego głowa uderzyła głucho o podłogę.

Odłamek szkła przeciął głęboko również dłoń Nakamury. Odrzuciwszy go na bok, Japończyk przewiązał ranę chustką i wybiegł na korytarz. Było bardzo ciemno, prawie tak, jakby zapadła już noc. Spojrzawszy w puste otwory wybitych okien, Nakamura dostrzegł, że niebo jest całkowicie zakryte przez skłębioną masę czarnych obłoków pyłu.

Nakamura był skonsternowany. Przecież dostrzegł tylko jeden błysk, a zatem na miasto spadała tylko jedna bomba. Dlaczego spowodowała aż takie spustoszenia?

Większość tej części miasta, którą widział, wydawała się zrujnowana; budowle były albo zrównane z ziemią, albo też zniknęły w burzy ogniowej. Wyglądało na to, że płomienie są dosłownie wszędzie. Ulicę na wprost szpitala całkowicie zablokowały zwaly gruzu. Nakamura uświadomił sobie, że przeżył tylko dlatego, iż

w ostatniej chwili odszedł do drzwi. Miał piekielne szczęście. Ci, którzy zostali zaskoczeni przez eksplozję na zewnątrz, nie mieli tyle szczęścia.

Przypomniał sobie, że przed szpitalem czekał na niego samochód. Jego kierowca, Kiyoshi Fukai, był wraz z Myeko na dole.

Nakamura odesłał ją z budynku dosłownie na chwilę przed eksplozją. Oboje znajdowali się na zewnątrz, wystawieni na działanie bomby.

Nakamura poczuł nagle wściekłość i strach. Nie chciał ugrzęznąć w Hiroszynie. Zaś bez samochodu i kierowcy całe dni mogą upłynąć, zanim zdoła powrócić do domu, do żony, dzieci i przedsiębiorstwa. A przecież było tak dużo do zrobienia: zbyt dużo dokumentacji, którą trzeba zniszczyć, urządzeń, które należy rozmontować i ukryć zanim na wyspach wyląduje nieprzyjaciel, by Nakamura mógł pozwolić sobie na spóźnienie.

Zaczął nagle pędzić korytarzem, a potem wspinać się na stosy gruzu, łóżek i ludzkich ciał, obojętny na krzyki i wezwania pomocy. Czuł narastającą panikę. Przecież Amerykanie z jakichś powodów wybrali Hiroszimą za cel. Jeśli zbombardowali miasto raz, niemal na pewno powtórzą atak. Musi wydostać się stąd, zanim powrócą nieprzyjacielskie bombowce.

Klatka schodowa na drugim końcu korytarza okazała się zaskakująco mało zniszczona i wolna od zwałów gruzu, chociaż w miarę, jak Nakamura pędził schodami w dół z trzeciego piętra na parter, dym stawał się coraz gęstszy.

Apteka na parterze płonęła, ale nikt nie próbował ugasić ognia. Kilka pielęgniarek pomagało pacjentom uciec ze szpitala, ale nie wyglądało na to, by do tej pory podjęto jakiegokolwiek próby zorganizowania akcji ratunkowej. Wszyscy, którzy przeżyli, wydawali się być w mniejszym lub większym stopniu w stanie szoku.

Na zewnątrz, dokładnie na wprost szpitala, siedziało bądź leżało na trawniku około dziesięciorga osób. Byli nadzy; ich ubrania zostały całkowicie spalone przez żar eksplozji, zaś skóra lśniła od poparzeń i w wielu miejscach była pokryta pęcherzami.

Jedynym wytłumaczeniem tego, co się stało, które Nakamura był w stanie teraz wyśnić, polegało na przypuszczeniu, że bomba Amerykanów trafiła w położony niedaleko skład amunicji, lub też spowodowała pożar i eksplozję gazowni.

Na samym środku podjazdu Nakamura dostrzegł przewrócony ambulans; płonął, podobnie jak duży czarny samochód, który był za nim. Nakamura uświadomił sobie, czując skurcz jelit i zatrzymując się nagle, że jest to samochód amerykańskiej produkcji.

To był jego Chrysler.

– Nie!!! – krzyknął i rzucił się w jego kierunku.

Żar był tak intensywny, że Nakamura musiał ominąć ambulans szerokim łukiem. Został też zmuszony do ponownego zatrzymania się po drugiej stronie przewróconego samochodu. Nie sposób było podejść blisko do Chryslera. Zbiornik paliwa najwyraźniej eksplodował, wyrzucając zawartą w nim syntetyczną benzynę do przodu, do wnętrza pojazdu. Teraz był to już tylko płonący wrak; czarny, gęsty dym unosił się zeń ku niebu ciemnemu od pyłu.

Nakamura ogarnęła nagle furia. Stała w odległości około dziesięciu metrów od płonącego samochodu i zaczął przeskakiwać z nogi na nogę. Jakiś poparzony i ranny człówek przeszedł obok, nie zwracając nań żadnej uwagi. Mnóstwo ludzi

wzywało pomocy lub prosiło o mmx, czyli wodę; inni krzyczeli: – *Idai! Idai! Boll! Boll!* – Wszędzie rozgrywały się piekielne sceny.

Spośród krzyków i jęków, które rozlegały się wokół, Nakamura wyróżnił stopniowo znajomy głos. Był to głos mężczyzny krzyczącego: – *Tasukete! Tasukete, kure!* – Pomóżcie mi, bardzo proszę!

Nakamura odwrócił się w tej samej chwili, gdy jego kierowca Kiyoshi, potykając się i zataczając, wychodził zza przewróconego ambulansu. Kurtka na jego plecach, a także spodnie były całkowicie spalone, podobnie zresztą jak znaczna część ciała. Odcinek kręgosłupa oraz kilka żeber wystawało na zewnątrz; ich biel tworzyła ohydny kontrast ze skórą kierowcy o ciemnoczerwonym, niczym burak, kolorze.

Kiyoshi upadł w tył, na chodnik, po czym nagle obrócił się na bok, zaś z jego gardła wydobył się nieludzki, wysoki jęk. Rozpostarł swe spalone ręce, jakby w geście błagania.

W mgnieniu oka Nakamura był przy nim.

– Kiyoshi, co się stało?! Gdzie jest Myeko?

Kierowca z trudem skupił wzrok na swym pracodawcy.

– Nakamura-san, co to było? – wyrzęził.

– Gdzie jest Myeko?! – wrzasnął Nakamura, chwytając Kiyoshiego za ramiona i potrząsając nim brutalnie. – Myeko... gdzie ona jest?!

– W samochodzie – wyjęczał Kiyoshi, szlochając bezgłośnie. – Nie żyje. Nie mogłem jej uratować. Nie żyje – powtórzył. – Pomóż mi, Nakamura-san. Pomóż mi, proszę.

Nakamura usiadł i spojrzał z pogardą na swego kierowcę. Nie było dla niego absolutnie żadnej nadziei. Żadna wiedza medyczna nie była w stanie mu już pomóc. Trzeba z żywymi naprzód iść.

Omiótł wzrokiem kompletnie zrujnowane miasto. Potem spojrzał ponownie na zmasakrowanego szofera, który służył mu wiernie przez prawie dziesięć lat.

Trzeba z żywymi naprzód iść, zaś Nakamura wiedział, że może być jednym z ocalałych. Musi nim być za wszelką cenę. Wiedział też, że w jakiś sposób zdoła powrócić do Nagasaki, do swojej żony i dzieci, do swej fabryki i laboratorium, by zrobić to, co należało uczynić, zanim pojawi się wróg.

KSIEGA PIERWSZA

1

• Paryż, 2 lipca 1992 roku

Strażnicy Pierre Capretz i Eugene Gallimard obserwowali, jak furgonetka, oznaczona symbolami obsługi naziemnej lotniska, z turkotem zbliżała się w ich stronę po zapyłonej drodze dojazdowej, zbudowanej dla ekip konserwacyjnych automatycznego systemu naprowadzania samolotów. Od strony wschodniej, w pewnej odległości, widoczny był pas startowy 08. W nieco większej odległości, w promieniach porannego słońca iskrzyły się okna budynku terminalu Lotniska Orly.

W dochodzącym z lotniska powiewie dawało się wyczuć również swąd spalonej nafty lotniczej, ponieważ wystartował właśnie samolot L-1011 linii Air Inter, kierując się w stronę Montpellier z potwornym rykiem silników, od którego zabręczały szyby w oknach budki strażników przy bramie remontowej lotniska. Cisza, która nastąpiła potem, była tak ogłuszająca, że Capretz musiał krzyknąć, by jego słowa dotarły do kolegi:

– Nie ma go w grafiku!

Gallimard wzruszył ramionami, ale gdy obserwował furgonetkę zmrudzonymi oczyma, jego lewa ręka powędrowała do przewieszzonego przez ramię paska, na którym zwisał pistolet maszynowy Uzi. Z tego, co zdołał dojrzeć, w samochodzie był tylko kierowca. Furgonetka wydawała się znajoma, podobnie jak logo, które wymalowano na jej boku. Ponieważ ostrzeżono ich jednak o możliwości ataku terrorystów na jeden z europejskich portów lotniczych w ciągu najbliższych dni, pracownik ochrony lotniska postanowił być formalistą.

– Zadzwoń do centrali – powiedział.

– Dobrze – odparł Capretz; przez moment jednak stał jeszcze, obserwując zbliżający się furgon.

– Pierre...! – ponaglił go Gallimard.

– *Mais oui* – zgodził się Capretz. Po chwili odwrócił się i wszedł do budki; tam położył swój pistolet maszynowy na biurku. Podniósł słuchawkę i wybrał numer 0133. W tym czasie furgonetka podjechała do bramy i zatrzymała się.

Gallimard okrążył szlaban, nie podnosząc go, i zbliżył się do samochodu od strony kierowcy. Wyglądał on na człowieka młodego, najwyżej trzydziestoletniego. Miał gęste włosy blond, wystające kości policzkowe, a także miły, niemal niewinny uśmiech. Jego biały kombinezon wydawał się nieskazitelny. Był praktycznie *un enfant*, co spowodowało, że Gallimard odprężył się nieco.

– *Bonjour. Salut* – powiedział z uśmiechem młody człowiek. Coś było nie tak z jego akcentem. Z pewnością nie był Francuzem, choć plakietka na jego kombinezonie świadczyła, iż nosi typowo francuskie imię Leon.

– Proszę o przepustkę.

– Tak, oczywiście – odpowiedział grzecznie Leon. Sięgnął dłonią w górę i odpiął z osłony przeciwsłonecznej pod dachem samochodu zafoliowany kartonik.

– Chce pan zobaczyć moje zlecenie? – zapytał.

– Tak – stwierdził Gallimard, studiując plastikową plakietkę. Wyglądała na autentyczną, a fotografia zgadzała się, mimo to coś go wciąż niepokoiło. Rzucił

okiem za siebie, na budkę strażniczą. Capretz stał plecami do okna ze słuchawką przy uchu.

Leon podał Gallimardowi zlecenie dotyczące nie ujętej w planie konserwacji jednego z przekaźników automatycznego systemu naprowadzania samolotów. Chodziło o jeden z wewnętrznych sygnalizatorów. Także ten dokument wyglądał na prawdziwy. – Jakież problemy?

– Nie było pana w grafiku – powiedział Gallimard. – Zostaliśmy ostrzeżeni o możliwości ataku terrorystycznego.

Leon roześmiał się.

– Co, tutaj? Może mam tam z tyłu bombę i zamierzam wysadzić w powietrze kilka świateł przy pasie startowym...?

– Rzucę okiem na pański ładunek, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Proszę bardzo. Płacę mi od godziny.

Gallimard cofnął się, Leon wysiadł z ciężarówki i razem przeszli do tyłu, gdzie młody człowiek otworzył drzwi ładunkowe.

– Niech pan spojrzy – zaprosił go.

Gallimard podszedł bliżej i zajrzał do wnętrza ciężarówki. Wyglądało na to, że nie ma tam nic niezwykłego. Narzędzia, trochę elektronicznego sprzętu i coś, co wyglądało jak skrzynia z częściami zamiennymi.

Jego uwagę przyciągnęła metalowa kasetka długości około półtora metra i szerokości trzydziestu centymetrów.

– Co jest w tym dużym pudle? – spytał.

– Antena do fal ultrakrótkich razem z instalacją.

Gallimard spojrzał na młodzieńca.

– Trzeba będzie to otworzyć – powiedział. Leon wzruszył ramionami.

Gallimard wspiął się do wnętrza ciężarówki, gdzie zaczął odpinać grube klamry pudła, gdy wtem nagły ruch za plecami zwrócił jego uwagę. Ujrzał przez ramię, że Leon unosi coś, co wygląda na pistolet dużego kalibru z masywnym tłumikiem przykręconym do lufy.

– *Salopard...* – zdołał jeszcze wykrztusić Gallimard, zanim pierwszy pocisk uderzył go w lewą część klatki piersiowej, odrzucając go w tył, i, co dziwne, nie powodując żadnego bólu. Po chwili drugi strzał eksplodował miliardem gwiazd we wnętrzu jego czaszki.

Leon obszedł furgonetkę i spojrzał w kierunku budki strażniczej, gdzie drugi strażnik wciąż próbował porozumieć się telefonicznie z centralą. Najwyraźniej nie zobaczył ani nie usłyszał niczego. Skrywając za nogą swój dziewięciomilimetrowy pistolet Sig-Sauer zaczął gwałtownie machać do niego drugą ręką.

– Hej, ty, tam w środku! Pomocy! – krzyczał.

Capretz odwrócił się.

– Pomóż mi! – krzyknął Leon ponownie.

Capretz podszedł do drzwi, a zaskoczony wyraz jego twarzy zamienił się w pełen niepokój, gdy nie zobaczył Gallimarda.

– Chodzi o twojego kolegę. Upadł. To chyba atak serca.

Terminal lotniska Orly przypominał dom wariatów. Lipiec i sierpień były miesiącami, podczas których mieszkańcy Paryża tradycyjnie wybierali się na wakacje i całe ich tłumy opuszczały teraz miasto.

Nikt nie zwracał zatem szczególnej uwagi na trzech mężczyzn, którzy wkroczyli do głównego holu odlotów i weszli na górę, do biur, znajdujących się na półpiętrze. Dwaj z nich: Bob Roningen i Don Cladstrup, byli agentami z placówki CIA w Paryżu. Pominawszy fakt, iż obaj byli potężnymi, dobrze zbudowanymi mężczyznami pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką, bardzo niewiele odróżniało ich od przeciętnych biznesmenów. Nie wyglądało także na to, by coś szczególnego niepokoiło ich w tej chwili. Najwyraźniej wykonywali jakąś całkowicie rutynową czynność.

Jednak trzeci mężczyzna był bardzo zdenerwowany. Co jakiś czas oglądał się przez ramię, tak, jakby spodziewał się, że ktoś ich śledzi. Był to Jean-Luc DuVerile, specjalizujący się w elektronice inżynier ze szwajcarskiej firmy ModTec GmbH. Bał się, że informacja, z którą przyjechał do Paryża, by przekazać ją CIA, może kosztować go utratę życia.

Przeszli krótkim korytarzem, na którego drugim końcu Cladstrup zastukał w nie oznaczone drzwi.

DuVerile patrzył do tyłu, w stronę, z której przyszli, a Roningen pokręcił głową.

– Tam nie ma nikogo – uspokoił Szwajcara. – Przyszliśmy tu bez ogona.

– Ale to nie pan ryzykuje swoim życiem – odparł szwajcarski inżynier. Jego angielski był dobry, ale czuło się w nim ciężki, niemiecki akcent. Miał potężną klatkę piersiową, kwadratowe szczęki i niezwykle głęboko osadzone oczy pod gęstymi, krzaczastymi brwiami. Wyglądał jak kryminalista albo eks-bokser, który zbyt często był nokautowany na ringu.

– To pan zgłosił się do nas, pamięta pan? – powiedział spokojnie Cladstrup.

DuVerile skinął głową.

– Może to był błąd – stwierdził.

– W porządku – odparł Roningen, rozkładając ręce. – Dlaczego w takim razie nie powiemy sobie, że kończymy z tym wszystkim tutaj i teraz? Pan pójdzie swoją drogą, a my pójdziemy swoją.

– Zabiliby mnie. W ciągu dwudziestu czterech godzin byłbym martwy. Wyjaśniałem już to. Wy nie znacie tych ludzi.

– Pan także nie.

– Ale ja wiem do czego są zdolni. Mówię wam, widziałem to na własne oczy.

– Kiedy nam pan to pokaże, wrócimy do Paryża – powiedział Cladstrup, gdy drzwi otworzyły się w akompaniamencie brzęczyka. Weszli do pokoju, gdzie oddali swoje bilety na samolot i paszporty francuskiemu oficerowi kontroli paszportowej, siedzącemu za biurkiem. Drugi policjant, uzbrojony, stał z boku.

– Mają panowie rezerwację na rejs 145 do Genewy, zgadza się? – spytał oficer, stemplując ich paszporty.

– Zgadza się – odparł Roningen.

Gliniarz spojrział w górę z umiarkowanym zainteresowaniem na DuVerile'a, a potem zwrócił im dokumenty.

– Samolot startuje za pół godziny. W poczekalniach mogą panowie dostać kawę i herbatę. Maurice pokaże drogę i pozostanie z wami do momentu wejścia na po-

kład. Do samolotu wejdziecie jako ostatni. Proszę nie opuszczać poczekalni do chwili, gdy otrzymacie wezwanie. *Comprenez vous?*

– Tak, dziękujemy bardzo – odparł Roningen. Wyszli z drugim oficerem na zewnątrz i poszli innym, bardzo długim korytarzem do małej, ale gustownie umeblowanej poczekalni dla VIP-ów. Okna poczekalni wychodziły na płytę lotniska, gdzie za chwilę miał zatrzymać się samolot, na którego pokład wejdą. Tego ranka nikt oprócz nich nie korzystał z poczekalni.

Telefon na ścianie zadzwonił i policjant podniósł słuchawkę.

– Kiedy zobaczycie ich kryjówkę z bronią, tak, jak ja, będziecie musieli mi uwierzyć – powiedział DuVerile.

– To będzie dla wszystkich wstrząs – skostatował Roningen. – A także te zwłoki.

– On tam ciągle jest, jeśli policja nie odkryła go jeszcze. Leitner był jednym z naszych najważniejszych inżynierów. Być może najlepszym w całym ModTecu.

– Co on mógł przekazywać tym ludziom? – spytał Cladstrup, spoglądając na policjanta, który wciąż rozmawiał przez telefon.

– Na początku udowodnię wam, jakie prowadzili interesy. A potem podyskutujemy o tym, co możecie zrobić dla mnie.

– Zobaczymy.

– Wiecie, że oni zabili go, ponieważ był głupi. Zagroził im, że pójdzie na policję, jeśli nie dadzą mu więcej pieniędzy. Jednak policja nie mogła mu pomóc.

– A więc zamiast policji, powiedział wszystko panu.

– Byliśmy przyjaciółmi – powiedział DuVerile. – Miałem stanowić jego ubezpieczenie.

– Rozumiem – powiedział cicho Roningen. Już w tej chwili zaczynał być zmęczony tym facetem, jednak w Langley sądzono, że historia DuVerile'a jest wystarczająco interesująca, by przeprowadzić przynajmniej wstępne śledztwo. Zależnie od tego, co znajdą, lub czego nie znajdą w Lozannie, zdecydują, co zrobić dalej. Wiedzieli jednak, że szwajcarska firma elektrotechniczna, oprócz innych urządzeń, produkowała także elektroniczne zapalniki do głowic atomowych.

Capretz wykazał się wystarczającą przytomnością umysłu, by złapać swą leżącą na biurku broń, zanim popędził w kierunku ciężarówki. Coś tu było wyraźnie nie tak, jednak strażnik nie mógł zorientować się o co chodzi. Telefon nie działał; niezależnie od tego, jaki nakręcał numer, aparat zawsze łączył go z nagraniem taśmą, która prosiła go, by poczekał. A teraz jeszcze to... Przesuwając kciukiem bezpiecznik Uzi, podszedł do otwartych drzwi z tyłu furgonetki. Leon stał w odległości kilku metrów od niej.

Gallimard leżał bez ruchu we wnętrzu ciężarówki. Zdecydowanie coś tu było nie tak.

– Eugene! – zawołał Capretz. Nie miał pojęcia, co robić.

– Coś mu się stało i po prostu upadł – powiedział Leon z wyraźnym zdenerwowaniem. – Może to serce?

Patrzyła na przesuwający się za szybami krajobraz, zaś on studiował jej profil. Niewielka żyłka pulsowała na jej długiej, delikatnej szyi. Pojawienie się Marty przed jego paryskim mieszkaniem było dla niego zupełną niespodzianką.

– Słyszałam, że jesteś w Paryżu. Pomyślałam sobie, że wpadnę do ciebie, żeby się przywitać.

Oczywiście wprowadziła się do niego. Nie było co do tego żadnych wątpliwości, przecież wciąż go kochała.

Jej przyjazd spowodował także przyływ wspomnień. Niektóre z nich wydawały się dobre, a przynajmniej znośne, ale wiele z nich było ciężkich i przygnębiających. Zresztą, który szpieg jest zdolny spojrzeć na swoją przeszłość choćby z odrobiną radości? A jeśli już o to chodzi, czy jest żołnierz, wspominający z radością i satysfakcją bitwy, w których wziął udział? Zaś to, w czym brał udział Kirk, było regularną wojną, a jego zadaniem było zabijanie. Nie było dnia, by nie wspominał ludzi, których życie skończyło się za jego sprawą. Czasem znajdował się wystarczająco blisko, by widzieć wyraz ich twarzy, gdy uświadamiali już sobie, że umierają. Był w tym grymasie oczywiście ból i strach, ale najczęściej ich ostatnim uczuciem okazywało się zdziwienie. Zapamiętał zwłaszcza twarz generała, którego polecono mu zabić w Santiago w Chile. Człowiek ten był odpowiedzialny za śmierć tysięcy ludzi i jedynym rozwiązaniem było zabicie go. Jednak w trakcie operacji zmieniono rozkazy, ale McGarvey o tym nie dowiedział się. Powrócił do Langley nie jako bohater, lecz jako parias, zaś CIA rozwiązała zawarty z nim kontrakt. Potem przysłała Szwajcaria i Paryż, gdzie Firma przerwała jego przymusowy stan spoczynku, przydzielając mu „kawałek roboty”.

W jego życiu pojawiła się znów śmierć i zniszczenie. Na skutek postrzału w plecy stracił jedną nerkę. Niewiele brakowało, by stracił życie. Opuściła go żona. Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że wie już wszystko o samotności – mógłby napisać na ten temat całą książkę.

– Dobre czy złe myśli? – spytała Marta, wyrывая go z posepnych rozważań.

Spojrzał na nią.

– Myślę, że będę tęsknił za Paryżem.

– Wyjeżdżasz stąd na dobre, prawda? – raczej stwierdziła, niż zapytała. – I nie wydaje mi się jakoś, byś zamierzał ponownie osiedlić się w Lozannie.

– Jeszcze nie zdecydowałem – skłamał i zdobył się na uśmiech. – Poza tym, nie sądzę, żeby twój szef był zadowolony z mojego przyjazdu.

– Jakoś można by to zorganizować.

– Może znowu dadzą mi „kawałek roboty”.

Potrząsnęła głową w odruchu irytacji.

– Stajesz się już za stary na gry wojenne, Kirk – powiedziała. – Chyba już zauważyłeś, że Rosjanie wrócili do domu. Mur berliński runął, Układ Warszawski został rozwiązany. Wszyscy źli faceci sobie poszli.

– Zawsze komuś się przyda stary, zatwardziały, podejrzliwy głupiec.

– CIA nie może sobie pozwolić na kontakty z tobą – stwierdziła. Spojrzała mu prosto w oczy. – Czy Portugalia niczego cię nie nauczyła?

– W jaki sposób się o tym dowiedziałaś?

– Jestem gliną, nie pamiętasz? Oglądam i czytam wiele różnych rzeczy. Ludzie mi się spowiadają.

– To dlatego przyjechałaś do Paryża, Mati? By uratować mi życie?

– I twoją duszę.

– Ona nie jest na sprzedaż. Być może nigdy nie była. Każdy szpieg ma swój własny koszmar.

Jego koszmarem był Arkadij Kruszyn. Jednak Rosjanin był już martwy. Kirk widział jego zwłoki na chwilę przed opuszczeniem do grobu dla bezdomnych na przedmieściach Lizbony, siedem miesięcy temu.

– Kocham cię, Kirk, czy to się nie liczy?

Oczywiście, to był błąd, że pozwolił jej zamieszkać w swoim mieszkaniu. Jednak usprawiedliwienie, które wymyślił na własny użytek, polegało na tym, iż był wtedy zmęczony, miał wstręt do zapachu prochu i huku wystrzałów. Potrzebował kobiecego ciepła i pocieszenia, które dawała mu Marta.

– To bardzo się liczy, Mati. Może jednak mimo wszystko byłoby lepiej, gdybym w ogóle nie przyjechał do Lozanny. Miałaś rację. Nie mam zamiaru pozostać tam, ani w żadnym innym miejscu w Europie, jeśli już o tym mówimy.

– Wracasz do domu?

– Tak, na trochę.

Marta przez chwilę milczała.

– Myślałam, że może przyjedziesz do Szwajcarii. Choćby po to, by zobaczyć się ze swoją córką. Ona jest wciąż w szkole w okolicach Berna, prawda?

– Będzie w domu na Święto Dziękczynienia. Wtedy się z nią zobaczę.

– Co chcesz mi teraz powiedzieć, Kirk? Że wracasz do swojej byłej żony? Myślałam, że zamierza wyjść za tego prawnika, który reprezentował ją w sądzie.

3

O godzinie ósmej dwadzieścia mężczyzna, na którego plakietce identyfikacyjnej widniało imię Leon, wysiadł z fałszywej furgonetki obsługi lotniska i przez lornetkę dokładnie przyjrzał się odległemu budynkowi terminalu. Koniec pasa startowego znajdował się w odległości około kilometra na wschód. Słaby, lecz stały powiew docierał do Leona niemal dokładnie z zachodu. Mężczyzna wiedział, że samolot Swissairu rejs numer 145 będzie wznosił się z pasa dokładnie w jego kierunku. W ciągu ostatnich dwudziestu minut wystartowało i wylądowało osiemnaście samolotów pasażerskich. Lotnisko Orly było tego poranka bardzo ruchliwe, tak jak zwykle o tej porze roku. Jednak żaden z samolotów, które przeleciały nad Leonem, nie był tym, o który mu chodziło. Wiedział to na pewno, ponieważ był w stanie dostrzec przez lornetkę pasażerski samolot Swissairu, stojący w tej chwili obok terminalu.

Imię Leon oczywiście było fikcyjne. Faktycznie mężczyzna nazywał się Karl Boorsch i aż do końca roku 1989, gdy państwa komunistyczne w całej Europie Wschodniej zaczęły się rozpadać, był zatrudniony przez Stasi, wschodnioniemiecką tajną służbę.

Większość pracowników Stasi zostało rozszyfrowanych i schwytanych, jednak Boorsch siedział cicho jak mysz pod miotłą, nie podnosząc głowy nawet po to, by poczuć, skąd wieje wiatr, dopóki nie dotarło do niego pierwsze wezwanie z Monako pod postacią krótkiego ogłoszenia w „Die Zeit”, skierowane do „H.W.” i postulującego, by „wracał do domu”, bo „wszystko zostało mu wybaczone”.

Uśmiechnął się, wspominając ten dzień. Od tego czasu znalazło się dużo, dużo pracy. Zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, gdy rozpoczęły realizację Projektu.

Pomyślał, że stare przymierza są najlepsze. Lub, tak jak w tym przypadku, z pewnością najbardziej interesujące i opłacalne. A gdy projekt zostanie zakończony, pojawi się inna robota. Mnóstwo nowej roboty.

Rzucił lornetkę na fotel kierowcy, wysiadł z kabiny i otworzył drzwi z tyłu. Wchodząc do wnętrza, musiał przecisnąć się obok ciała drugiego z francuskich gliniarzy, plamiąc nieco krwią bok jednego ze swoich butów. Nie zaniepokoiło go to w najmniejszym stopniu. W ciągu dziesięciu lat swej służby w Stasi, rozpoczętej zaraz po osiemnastych urodzinach, gdy skończył gimnazjum, widział wystarczająco dużo krwi, by całkowicie przywyknąć do jej widoku.

Odepchnąwszy na bok ciało strażnika, pociągnął długie metalowe pudło w stronę otwartych drzwi. Pudło było ciężkie i przesunięcie go wymagało sporo wysiłku.

Zeskoczył na ziemię, rzucił okiem na drogę, którą tu przybył, a potem spojrzął w kierunku ruchliwego pasa startowego. Po zapyłonej drodze dojazdowej nie poruszało się nic, natomiast w okolicach pasa startowego samolot w barwach francuskiej linii Air Inter wyruszył od strony terminalu i toczył się powoli po pasie przeznaczonym do kołowania. To powinien być lot numer siedemnaście. Ten właśnie samolot oraz jeszcze jeden miały według planu wystartować przed maszyną Swisairu lecącą do Genewy.

Stojąc przed furgonetką, Karl przyjrzał się uważnie kołującemu samolotowi, by upewnić się, że zidentyfikował go poprawnie. Rzeczywiście tak było. Potem wyjął z fotela masywny radiotelefon i nacisnął przycisk ZAPIS MOWY.

– Jeden – powiedział. Nacisnął przycisk TRANSMISJA i jego słowo, zapisane przez elektroniczną aparaturę, zostało zaszyfrowane, skompresowane w mikrosekundowy „pakiet” i przesłane do adresata. Czas trwania transmisji był tak krótki, że nawet automatyczna aparatura rejestrująca nie była w stanie uchwycić jej w żaden sposób, nawet pod postacią przelotnego zakłócenia poziomu szumów.

– Czysto – odpowiedział człowiek, który obserwował zjazd z autostrady na drogę dojazdową do lotniska.

– Dwa.

– Jestem – odparł drugi członek ekipy. Znajdował się w miejscu, z którego widoczne było główne wejście do budynku terminalu.

– Trzy.

– Spokój – odpowiedział trzeci. Był na autostradzie N7, gdzieś pomiędzy Orly a Paryżem, kontrolując częstotliwości radiowe używane przez francuską policję, by sprawdzić, czy nie ma na nich jakiegoś niezwykłego, niepokojącego ożywienia. Niczego takiego nie zauważył.

Odłożywszy na miejsce radiotelefon Boorsch ponownie przyjrzał się samolotowi, który osiągnął właśnie przeciwny koniec pasa startowego i powoli skręcał. Kilka sekund później potężna maszyna skoczyła do przodu, po tym jak pilot zwolnił wciśnięte dotychczas hamulce, i rozpoczęła swój rozbieg przed startem. Boorsch prowadził obserwację jeszcze przez kilka sekund, potem opuścił lornetkę i cofnął się, gdy DC-10 zbliżał się z rykiem dokładnie w jego kierunku; w końcu nos samolotu podniósł się, jego główne koła oderwały się od powierzchni pasa; nagle potężny, stalowy ptak znalazł się dokładnie nad głową Karla, zaś hałas był tak potężny, że jakkolwiek racjonalna myśl była praktycznie niemożliwa.

Wydawało mu się, że uchwycił spojrzenia kilku pasażerów, patrzących wprost na niego z niewielkich okienek, jednak samolot wciąż wznosił się w stronę bezchmurnego nieba. Ryk silników ucichł powoli, stłumiony przez rosnącą odległość.

Tymczasem samolot Air France rejs numer 248, który był ostatni przed lotem Swissairu, już toczył się po pasie do kołowania. Boorsch obserwował, jak samolot dociera do końca pasa, potem zatrzymuje się na chwilę, wreszcie skręca.

To był Airbus A-320, ten sam typ, co maszyna Swissairu, która wykonywać będzie lot 145; Boorsch obserwował go z zainteresowaniem, gdy poruszał się ciężale w jego kierunku po pasie startowym. Przednie podwozie oderwało się od powierzchni pasa i wyglądało na to, że wielki samolot pasażerski wisi, uniesiony jedynie w połowie, przez długi jeszcze czas, zanim jego główne podwozie oderwało się od ziemi. Potem Airbus z rykiem przesunął się nad głową Boorsch'a i zaczął nabierać wysokości.

Karl odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak podwozie chowa się w kadłubie, a gdy samolot zmienił się już w niewielką plamkę na niebie, spojrzął ponownie w kierunku odległego terminalu – odrzutowiec Swissairu wciąż stał obok rękawa – zanim podszedł do tylnej części furgonetki.

Po zdjęciu zaczepów otworzył pokrywę długiego, metalowego pudła. Przez chwilę patrzył na to, co znajdowało się wewnątrz, po chwili wyciągnął dłoń i przesunął z czułością opuszkami palców po kadłubie niemal półtorametrowej rakiety ziemia-powietrze typu Stinger. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

4

W sali operacyjnej ochrony lotniska Orly zabrzączał telefon, łączący ją bezpośrednio z wieżą kontrolną.

Słuchawkę podniosła sierżant policji Marie-Lure Germain.

– Ochrona. Tu Germain.

– Marie-Lure, przy jednym z wewnętrznych sygnalizatorów zaraz za końcem pasa zero osiem ktoś zaparkował furgonetkę obsługi naziemnej. Czy masz coś na ten temat w swoim dzienniku?

– Chwileczkę, Raymond – odpowiedziała. Raymond Flammarion był dzisiaj szefem kontrolerów w głównej wieży lotniska. Był nadgorliwcem, przywiązującym wielką wagę do szczegółów. Z tego właśnie powodu nikt go nie lubił, lecz wszyscy szanowali profesjonalizm, z jakim wykonywał swoją pracę.

Na tablicy sytuacyjnej, która dawała obraz aktywności różnych służb lotniska wewnątrz i na zewnątrz portu lotniczego, nie pojawiła się żadna informacja dotycząca furgonetki. Marie odwróciła się do swojej konsoli.

– Tu nic nie mamy – powiedziała.

– Właśnie w tej chwili widzę ją przez lornetkę. *Ma chérie*, tylne drzwi są otwarte. Jednak nie widzę tam nikogo. Zaś biorąc pod uwagę ostrzeżenie Interpolu...

– Sprawdzę to.

– Jak to zrobisz, połącz się znów ze mną. Nie mamy dziś na naszych pasach żadnego samolotu, w którym byłoby choć jedno wolne miejsce, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Poczekaj chwilę, Raymond. Prawdopodobnie ktoś zapomniał wprowadzić tę naprawę do grafiku.

Marie-Lure odłożyła słuchawkę i na tarczy swego operacyjnego telefonu wybrała numer budki strażniczej przy bramie prowadzącej na płytę lotniska. Połączenie zostało natychmiast zrealizowane i telefon w budce zaczął dzwonić.

Mającą zaledwie dwadzieścia trzy lata Marie-Lure była jedną z najmłodszych członkiń personelu ochrony lotniska, wybraną na ten szczególny okres z Grupy Operacyjnej Sił Specjalnych Policji, stacjonującej w Paryżu, w której skład wchodziło niemal sto osób. Była jednak profesjonalistką. Wyszkolono ją w Academie de Police w Paryżu. Jej wyniki kwalifikowały ją do pięciu procent najlepszych absolwentów swojego roku.

Po pięciu impulsach bez odpowiedzi przerwała połączenie i ponownie wybrała numer. Nikt nie podnosił słuchawki. Możliwe, że telefon się zepsuł, możliwe również, że strażnicy wyszli z budki. Jednak akurat teraz było to niepokojące.

Odłożyła słuchawkę i przywołała kontrolera wieży, porucznika Jacquesa Bellusa, który podniósł się ciężko zza swojego biurka i podszedł do niej. Dwa lata temu, wówczas w stopniu inspektora policji, Bellus zgodził się na wcześniejszą emeryturę, by przyjąć tę pracę na lotnisku. Była znacznie bezpieczniejsza niż poprzednia.

– Co się dzieje? – spytał.

– Flammarion dostrzegł furgonetkę remontową obsługi naziemnej zaraz za końcem pasa zero osiem. Pyta, czy wiemy coś na ten temat.

Bellus spojrział na tablicę sytuacyjną.

– Na tablicy nic nie ma – stwierdziła Marie-Lure. – A strażnicy przy bramie nie odpowiadają na wezwania.

– Kto jest dzisiaj rano na posterunku?

Marie-Lure wydobyla informację ze swojego komputera.

– Capretz i Gallimard – odpowiedziała.

– Dzwoniłaś już do obsługi naziemnej?

– Na razie nie chciałam nikogo alarmować.

– Zadzwoń do nich, a ja spróbuję dodzwonić się do budki – powiedział Bellus i podniósł słuchawkę telefonu.

Marie-Lure zatelefonowała do dyspozytora obsługi naziemnej po drugiej stronie pasa, w pobliżu hangaru Air France.

Dyspozytor podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

– Obsługa.

– Tu ochrona. Co pańscy ludzie robią przy wewnętrznym sygnalizatorze przy końcu pasa zero osiem? Na naszej tablicy nie mamy nic na ten temat.

– O ile wiem, nie powinno być tam teraz nikogo – odpowiedział młody człowiek. – Moment...

Marie-Lure usłyszała szelest przesuwanych papierów i kilka sekund później dyspozytor znów podniósł słuchawkę.

– Mam tutaj potwierdzenie wydania zlecenia. Najwyraźniej jakiś technik musiał położyć go nie w tej przegródce. Wygląda to na dostrojenie częstotliwości sygnalizatora. Przykro mi, ale nie wiem nic więcej na ten temat. Wiem tylko, że ktoś za to beknie.

– Przyślijcie tu gońca z kopią zlecenia, dobrze?

– Zrobimy to tak szybko, jak to będzie możliwe. Dziś rano jesteśmy bardzo zajęci.

– *Merci*. – Marie-Lure przerwała połączenie. Także Bellus pokręcił głową i odłożył słuchawkę.

– Wciąż nic – powiedział. – Co powiedzieli?

– Zlecenie na wykonanie tej pracy zostało najwyraźniej położone w złym miejscu. Prześlij je nam tak szybko, jak tylko będą mogli.

– Kogo mamy w pobliżu?

– Myślę, że Dubot może wciąż być za pasem zero osiem. Mógłby tam zajrzeć, ale musiałby przejechać przez pas.

– Połącz się z nim przez radio i załatw z wieżą zgodę na przejazd.

– Czy chce pan na kilka minut wstrzymać ruch w powietrzu?

Bellus przez chwilę rozważał tę sugestię, ale zaraz pokręcił głową.

– Skoro to oficjalne zlecenie obsługi naziemnej, nie sądzę, by było to konieczne.

Marie-Lure przełączyła się na częstotliwość ochrony lotniska, by wywołać sierżanta Dubouta.

Pasażerowie rejsu numer 145 Swissairu powinni w tym mniej więcej czasie kończyć wsiadanie na pokład samolotu. Boorsch stał poza polem widzenia kogokolwiek, kto mógłby patrzeć w tę stronę z wieży lub budynku terminalu i przyglądał

się maszynie przez lornetkę. Rękaw wciąż podłączony był do kadłuba, jednak pokrywy komory bagażowej znajdujące się pod spodem Airbusa zostały już zamknięte, zaś pochylne bagażowe wycofane.

Boorsch opuścił lornetkę, a potem uniósł ją ponownie, by przyjrzeć się wieży kontrolnej i hangarom naprawczym, znajdującym się po drugiej stronie lotniska, naprzeciw głównego terminalu. O ile zdołał dostrzec, aktywność wszędzie była normalna. Nic, co wykraczałoby poza zwykłą krzątanicę.

Oczywiście prędzej lub później ochrona lotniska uzmysłowi sobie, że coś może być nie tak ze strażnikami przy bramie, jednak obecność furgonetki na płycie nie powinna wzbudzić żadnych podejrzeń. Boorsch zajął się tym osobiście wcześniej rano, podczas zmiany personelu w Biurze Ekspedycyjnym obsługi lotniska.

Ktoś mógł wybrać się tutaj, by zbadać sytuację na miejscu. Dlatego właśnie synchronizacja działań Boorscha wymagała tak ścisłego wyliczenia czasu. Teraz jedynie minuty dzieliły go od wykonania zadania.

Odłożywszy na bok lornetkę, Boorsch ostrożnie wyjął Stingera. Całe urządzenie miało około stu dwudziestu centymetrów długości i dziesięć centymetrów średnicy, ważyło około czternastu kilogramów, wliczając w to wyrzutnię wielokrotnego użytku i rakiety na paliwo stałe z naprowadzaną termicznie głowicą bojową, wypełnioną materiałem wybuchowym.

Teoretycznie rakietą była bardzo prosta w użyciu. Trzeba było skierować ją na emitujący ciepło cel, następnie uruchomić obwody odpalania i gdy przechłodzony płynnym azotem czujnik rakiety skoncentruje się na celu, operator powinien usłyszeć świergot. W tym momencie operator powinien nacisnąć przycisk odpalania i Stinger startował, niemal natychmiast osiągając prędkość trzystu metrów na sekundę; jego efektywny zasięg wynosił trzy tysiące siedemset metrów.

Jednak w praktyce początkujący operatorzy rzadko kiedy trafiali w najłatwiejsze nawet cele. Podobnie jak w przypadku strzelania do rzutków z dubeltówki, operator musiał „prowadzić” swój cel w powietrzu – szczególnie przyspieszający cel, taki, jak startujący odrzutowiec.

Pośród sześciu towarzyszy z byłej Stasi, trenujących ze Stingerami w Libii, Boorsch był najlepszy, zatem w naturalny sposób on właśnie wyznaczony został do wykonania tego zadania.

– Nie zawieź nas, Karl – powiedziano mu. – To jest ważne dla Projektu. Bardzo ważne.

Nagle ożył radiotelefon, znajdujący się w kabinie furgonetki. – Trzy – zakomunikował mężczyzna patrolujący autostradę N7. Ostrożnie odłożywszy rakiety, Boorsch popędził do kabiny i chwycił radiotelefon.

- Trzy, mów.
- Ktoś jedzie w twoją stronę przez pas jeden osiem.
- Kiedy tu będzie?
- Za niecałe pięć minut.
- Zrozumiałem – odparł Boorsch. – Jeden?
- Czysto.
- Dwa?
- Czysto.

Boorsch odłożył radiotelefon i podszedł do tylnej części furgonetki, gdzie złapał lornetkę i dokładnie obejrzał teren lotniska w sąsiedztwie końca pasa startowego północ-południe. Okazało się, że dżip już przejeżdża przez pas.

Spojrzał przez lornetkę w kierunku samolotu Swissairu. Wciąż jeszcze nie wycofano rękawa. Miał zatem jeszcze czas. Ale już niewiele, pomyślał Boorsch, odkładając lornetkę i wyciągając pistolet.

5

McGarvey musiał pokazać swój paszport, by móc towarzyszyć Marcie poprzez posterunki ochrony aż do wyjścia. Uderzyła go panująca wokół atmosfera napięcia. Prawdopodobnie kolejne ostrzeżenie przed atakiem terrorystów. Francuzi traktowali je bardzo poważnie.

Większość pasażerów Swissairu znajdowała się już na pokładzie, poczekalnia była zatem pusta, wyjąwszy jedną osobę z personelu pokładowego i dwóch ludzi obsługujących wyjście, z których jeden wygłaszał przez system nagłaśniający lotniska wezwanie do wejścia na pokład.

– Panie i panowie! Wszyscy pasażerowie, którzy posiadają zarezerwowane bilety na bezpośredni lot Swissairu do Genewy rejs numer 145 proszeni są o wejście na pokład samolotu. Za chwilę zakończymy przyjmowanie pasażerów na pokład. *Madames et messieurs...*

– Nie chcę żegnać się w ten sposób, Kirk – powiedziała Marta, spoglądając mu w oczy. – Mam przecucie, że nigdy cię już nie zobaczę.

– Nie jestem takim człowiekiem, za jakiego mnie uważasz, Mati. Nigdy taki nie byłem.

– Od samego początku wiedziałam, kim jesteś – powiedziała. – I mimo to cię kocham.

McGarvey musiał się uśmiechnąć.

– To chyba niezbyt dobra podstawa do stworzenia zgodnego stadła – odparł.

Hostessa przyglądała im się z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Nie jestem dumna. Każdy sposób jest dla mnie dobry, żeby z tobą zostać.

Coś było nie tak. Jakiś wewnętrzny system ostrzegawczy rozdzwonił się w głowie McGarveya. Ten zaparkowany przed terminalem samochód CIA. Co oni tu teraz robili? Obserwowali go?

– Słuchaj, Mati, zrób mi tę uprzejmość i poczekaj tutaj na mnie. Jeszcze przez kilka minut nie wsiadaj na pokład. Muszę gdzieś zatelefonować.

Marta spojrzała na człowieka z obsługi, stojącego przy otwartym wyjściu tunelu dla pasażerów.

– O co chodzi?

– Prawdopodobnie o nic – odparł McGarvey. – Po prostu poczekaj tutaj.

Podszedł do pulpitu obsługi.

– Czy mógłbym skorzystać z pańskiego wewnętrznego telefonu? – spytał mężczyznę z obsługi, który skończył właśnie wygłaszać wezwanie do wsiadania.

– Proszę pana, ta pani musi już wejść na pokład, w przeciwnym wypadku spóźni się na swój lot – powiedział młody człowiek.

– Czy mogę użyć pańskiego wewnętrznego telefonu? To bardzo ważne.

Człowiek z obsługi wahał się przez chwilę, ale potem westchnął i podał mu słuchawkę.

– O jaki numer panu chodzi, sir? – spytał.

– Oficera dyżurnego ochrony lotniska.

Przez twarz młodego człowieka przemknął cień niepokoju.

– Proszę pana, czy coś się stało?

– Nie wiem. Proszę wybrać dla mnie ten numer.

Chwilę później uzyskał połączenie.

– Tu Bellus, ochrona – usłyszał.

– *Monsieur* Bellus, nazywam się Kirk McGarvey i jestem Amerykaninem.

– *Oui, monsieur*, co mogę dla pana zrobić?

– Jeden lub dwóch moich rodaków z ambasady... zajmują się ochroną ambasady... znajduje się obecnie gdzieś tutaj na lotnisku. Bezwarunkowo muszę z nimi porozmawiać. Natychmiast.

– Nie wiem, o czym pan mówi, *monsieur* McGarvey; jestem teraz bardzo zajęty...

– Na pewno pan wie. Proszę się z nimi skontaktować i przekazać im moje nazwisko. Proszę, to bardzo ważne.

– Skąd pan dzwoni?

– Jestem przy wyjściu E 17.

– To lot Swissairu?

– Tak, proszę się pośpieszyć.

– Później poproszę pana o wyjaśnienie.

– Oczywiście.

Przez chwilę w słuchawce zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na McGarveya. Marta podeszła do niego.

– Co się stało? – spytała.

Pokręcił głową; czas na wyjaśnienie przyjdzie później. Mężczyzna z obsługi lotu wyszedł z rękawa i z uwagą obserwował całą scenę.

Minutę później Bellus był znów przy słuchawce.

– *Monsieur* McGarvey, oni odpowiedzieli, że jeśli pańska wiadomość dla nich nie jest niezwykle pilna, proszą o kontakt z właściwym... biurem w waszej ambasadzie.

– Rozumiem.

– Czy to jest nadzwyczaj pilne?

McGarvey spojrział na odrzutowiec Swissairu.

– Nie. Sądziłem, że to moi starzy przyjaciele i chciałem po prostu przywitać się z nimi.

– Przepraszam bardzo, *monsieur*, ale wydaje mi się to dziwne, zważywszy, że oni będą lecieć do Genewy na pokładzie tego samego samolotu, co pan. Czy jest pan przy wejściu E 17?

– Tak – odpowiedział McGarvey. – Właściwie chodziło o to, że nie wiedziałem, czy oni już przyjechali. Naprawdę bardzo mi przykro, że pana niepokoiłem.

– Czy pan mieszka w Paryżu, panie McGarvey?

– Tak – odpowiedział Kirk. Dał policjantowi numer swego mieszkania na ulicy Lafayette w dziesiątym *arrondissement*.

– Czy znają pana pod tym adresem i czy wie o panu ambasada?

– Tak, oczywiście.

– Sprawdź to, *monsieur*. Życzę przyjemnego lotu.

– *Oui, merci* – odparł McGarvey i odłożył słuchawkę.

– I co? – spytała Marta.

– Okazało się, że to nic takiego – odpowiedział i pocałował ją. – Do widzenia, Mati.

– Tak po prostu...? – spytała, a w jej oczach ponownie pojawiły się łzy. Kirk skinął głową.

– Życzę ci przyjemnego lotu – powiedział, po czym odwrócił się i odszedł, nie patrząc już za siebie.

– O co w tym wszystkim chodziło? – spytał Cladstrup, gdy Roningen wrócił od telefonu. DuVerile znajdował się po drugiej stronie pokoju, skąd nie mógł ich słyszeć.

– Czy mówi ci coś nazwisko Kirk McGarvey?

Cladstrup roześmiał się w odpowiedzi.

– Jasne. Właśnie zatrudniłem się w Firmie, gdy on został wyrzucony. To było w późnych latach siedemdziesiątych. Myślę, że chodziło o coś, co zdarzyło się w Chile. Podobno sparał robotę.

– On mieszka tu, w Paryżu, i był zamieszany w ten wybuch w ambasadzie.

– Słyszałem o tym.

– Wygląda na to, że jest tu, na lotnisku; zadzwonił do ochrony i poprosił o rozmowę z nami.

– Podał nasze nazwiska?

– Nie, ale powiedziałem Bellusowi, że mogę z nim rozmawiać, jeśli ma dla nas coś pilnego. Najwyraźniej nie miał nic takiego, ponieważ się wycofał. Bellus sądzi, że on może być na pokładzie tego samolotu. Dzwonił z wyjścia E 17.

– Czy jego nazwisko jest na liście pasażerów?

– Nie, ale to o niczym nie świadczy.

– O co chodzi, do diabła? – Cladstrup rzucił okiem w kierunku DuVerile'a.

– Czy sugerujesz, że jest jakiś związek...?

– Czy rozpoznałbyś go, gdybyś go zobaczył?

– Mogę go wyłowić z każdego tłumy.

– Zobacz, czy jest na pokładzie, a ja zadzwonię do Lyncha i zapytam go, co się tu dzieje.

Widząc, że Cladstrup wstaje, DuVerile poderwał się z miejsca, ale pracownik CIA machnięciem ręki dał mu znak, żeby nie wstawał.

– To potrwa tylko chwilę – powiedział mu, podchodząc do francuskiego policjanta, stojącego przy rękawie. – Zamierzam sprawdzić samolot, zanim wejdzie na pokład.

– Proszę bardzo – odpowiedział policjant, usuwając się z drogi. Cladstrup wkroczył do rękawa i ruszył do samolotu. Pokazał stewardesom bilety i swój dokument tożsamości.

– Będziemy dosłownie za minutę – powiedział. – Czy wszyscy pasażerowie są już na pokładzie?

– Tak, proszę pana – powiedziała jedna ze stewardes. – Liczba pasażerów zgadza się, oczywiście z wyjątkiem pana i dwóch pozostałych dżentelmenów, którzy są z panem. Będą panowie jedynymi pasażerami w pierwszej klasie.

– Czy wszystkie miejsca w klasie turystycznej są zajęte?

- Tak, proszę pana.
 - Czy mogę rzucić okiem na pasażerów?
- Z kabiny przyglądał im się kapitan samolotu.
- Czy mamy jakiś problem? – spytał.
 - Bynajmniej, kapitanie. Istnieje tylko możliwość, że ktoś, kogo znamy, może być na pokładzie. Chciałbym to sprawdzić.
 - Proszę zrobić to jak najszybciej. Chcę wystartować o czasie.
 - Da się zrobić – odparł Cladstrup, po czym odwrócił się i przeszedł szybko pomiędzy siedzeniami samolotu. McGarveya nie było wśród pasażerów.
 - Czy pański przyjaciel jest na pokładzie? – spytała szefowa personelu pokładowego.
 - Nie – odpowiedział krótko Cladstrup. – Zaraz wracam – dodał. Pośpieszył z powrotem przez rękaw do poczekalni dla VIP-ów.
- Ronigen wracał właśnie od telefonu.
- Nie ma go na pokładzie – oznajmił Cladstrup. – Co powiedział Lynch?
 - Także nie słyszał nic o tej sprawie, ale zamierza to sprawdzić.
 - Co robimy?
 - Lecimy do Genewy. Co innego możemy zrobić?

Zaprojektowany przez Amerykanów, ale zbudowany we Francji dżip jechał po zapyłonej drodze zaraz za końcem tak uczęszczanego dzisiaj pasa startowego. Z miejsca, z którego obserwował go Boorsch, stojąc za tylną częścią furgonetki, widział tylko jednego człowieka za kierownicą i nikogo poza nim.

Najprawdopodobniej ktoś z ochrony, kto został wysłany, by sprawdzić, co się dzieje ze strażnikami. Nie było powodu, dla którego miałyby zajmować się pracownikiem brygady remontowej, wykonującym zlecenie obsługi naziemnej.

Jednak ten gliniarz będzie musiał przejechać w pobliżu furgonetki, a zatem zrobić dokładnie to, czego życzył sobie Boorsch. Nie chciał, żeby odciął mu drogę ucieczki.

Kiedy dżip znajdował się w odległości niecałych dwudziestu metrów, Boorsch wyszedł z tyłu ciężarówki i pomachał w stronę kierowcy. Dżip natychmiast zwolnił.

Karl wiedział, że ktoś, kto znajdowałby się w tej chwili na wieży lotniska z dobrą lornetką, widziałby go teraz jak na dłoni, ale nic na to nie mógł poradzić. Dostrzegł, że odrzutowiec Swissairu wycofał się już ze stanowiska przedstartowego i kołował teraz w stronę pasa. Czas uciekał.

Boorsch wyszedł na drogę w chwili, gdy dżip podjechał ku niemu.

- Dzień dobry – powiedział.
- Dzień dobry – odpowiedział policjant. DUBOUT – przeczytał Karl na jego tabliczce z nazwiskiem. – Jak panu idzie naprawa?
- Mam niewielki problem. Cieszę się, że pan tędy przejeżdżał. Potrzebuję, do słownie na chwilę, drugiej pary rąk. Chodzi o zmontowanie tej cholerniej anteny.
- To będzie musiało poczekać. Chcę najpierw sprawdzić, co dzieje się z moimi ludźmi.

Boorsch spojrział w kierunku budki strażniczej, znajdującej się w odległości około trzech kilometrów.

– Czy chodzi panu o tych dwóch przy bramie? – spytał. – Nie sędzę, żeby to była ich wina.

Oczy Dubouta zwięzły się nieco.

– Widział ich pan?

– Oczywiście. Jak inaczej mógłbym dostać się tutaj?

– Co pan miał na myśli mówiąc: nie ich wina?

– Telefon; to dlatego pan tu przyjechał, prawda? Ich telefon nie działa. Prosił mnie, żebym na niego zerknął, ale myślę, że coś musi być nie tak z linią telefoniczną. Prawdopodobnie coś ze złączami przy autostradzie.

– Sprawdzę to.

– Czy mógłby pan wcześniej mi pomóc? To potrwa dosłownie minutę, może mniej. Potrzebuję kogoś, kto przytrzymałby obcęgami skrzynię z anteną, podczas gdy ja z drugiej strony pociągnąłbym za rygiel zamka.

Dubout wahał się przez chwilę.

– Trzydzieści sekund.

– W porządku – powiedział Dubout, po czym zaciągnął ręczny hamulec i wysiadł z dżipa.

– Antena jest w furgonetce – wyjaśnił Boorsch. – To dosłownie parę sekund roboty.

– No cóż, w takim razie bierzmy się do tego.

– Jasne – zgodził się Boorsch, pozwalając, by francuski policjant podszedł pierwszy do otwartych tylnych drzwi furgonetki.

Wyciągnął swój pistolet w tym samym momencie, gdy Dubout cofnął się gwałtownie po zajrzeniu do wnętrza.

– *Mon Dieu!*

Boorsch popchnął go lewą ręką, tak, by obaj znaleźli się poza polem widzenia kogoś, kto patrzyłby w ich kierunku z wieży kontrolnej, a potem trzykrotnie strzelił w tył głowy policjanta.

Dubout upadł do przodu, na skrzynię, w której wcześniej znajdował się pocisk rakietowy. Chowając pistolet, Boorsch wepchnął ciało mężczyzny głębiej, do wnętrza furgonetki.

Potem chwycił lornetkę i przyjrzał się drugiemu końcowi pasa startowego. Airbus dotarł właśnie do końca pasa do kołowania. Mógł wystartować w ciągu najbliższych sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu sekund.

Odłożywszy lornetkę, chwycił radiotelefon. Zwykle w chwilach napięcia potrafił zachować spokój, ale nigdy dotychczas nie miał możliwości zestrzelenia rejsowego samolotu, wypełnionego ludźmi. Boorsch zaczął przejawiać oznaki ekscytacji i zdenerwowania.

– Jeden – powiedział do mikrofonu.

– Czysto – usłyszał odpowiedź.

– Dwa.

– Czysto.

- Trzy.
- Czysto. A co u ciebie?
- Wszystko w porządku – odparł Boorsch. Airbus właśnie skrzył na pas startowy. – Bądźcie w pogotowiu.